

**Podróż do
Rosji
albo wygnanie
Nadziei z raju**

**W
I
T
O
L
D

W
I
E
T
E
S
K
A**

Witold Wieteska

PODRÓŻ DO ROSJI

ALBO

WYGNANIE NADZIEI Z RAJU

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-68-8

Copyright © Svetlana Veteska

Książka ta jest drugą częścią tryptyku „Ruskie monidło”

Na okładce ikona św. Krzysztofa z ok. V wieku naszej ery, która znajduje się w zbiorach Byzantine and Christian Museum w Atenach. Święty Krzysztof, którego imię oznacza po grecku „niosący Chrystusa” jest wspólnym świętym prawosławia i katolicyzmu. W III wieku za cesarza Trajana Decjusza poniósł męczeńską śmierć za wiarę. Tak właśnie, z głową psa, ten ogromny (według legend cztery metry wzrostu) młodzieniec o „odrażającym” wyglądzie, był przedstawiany w ikonografii. Około XII wieku zaczęto zamalowywać mu głowę i przedstawiać jako przystojnego brodacza. I w takim właśnie obrazie św. Krzysztof jest dzisiaj patronem kierowców i podróżujących.

INSKRYPCJA

*Wymyślili opowieść
O sobie samych – podróżujących, bohaterskich.
Ze strachu, z choroby jakiejś?
Ze zbrodni, z krzywdy pierwotnej może?
Ale skoro psie zęby białe w aureoli blasku
Cóż ich powstrzyma?*

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA: Z MŁODOŚCIĄ NIEROZSTANIE	4
SCENA I: WSPOMNIENIE Z ALEJI LIPOWEJ	4
SCENA II: DZIEWCZYNA Z DOBROLIPIA	Error! Bookmark not defined.
CZĘŚĆ DRUGA: ZARAŻENI BOHATERSTWEM	Error! Bookmark not defined.
SCENA III: CMENTARNE OBJAWIENIA	Error! Bookmark not defined.
SCENA IV: PŁACZ IWANA IWANOWICZA ..	Error! Bookmark not defined.
CZĘŚĆ TRZECIA: DRAMATY DZIECIŃSTWA NIEBYWAŁE	Error! Bookmark not defined.
SCENA V: ZABÓJSTWO, KTÓREGO NIKT NIE ZAUWAŻYŁ	Error! Bookmark not defined.
SCENA VI: KRZYWDA, JAK ONA, NIECHCIANA	Error! Bookmark not defined.
CZĘŚĆ CZWARTA: Z DELIKATNOŚCI CHOROBA	Error! Bookmark not defined.
SCENA VII: JEGO ŚWIATA DZIWACZNE PŁĄSY	Error! Bookmark not defined.
SCENA VIII: W POSZUKIWANIU BIAŁEGO WĄSA	Error! Bookmark not defined.
CZĘŚĆ PIĄTA: DUCHEM PODNIOSŁYM OPĘTANIE	Error! Bookmark not defined.
SCENA IX: ŚWIĘTOŚĆ I SZALONA HRABINA	Error! Bookmark not defined.
SCENA X: GDY IKONA PRZYZYWA	Error! Bookmark not defined.
CZĘŚĆ SZÓSTA: W DRODZE NA NIEMOŻLIWE SPOTKANIE	Error! Bookmark not defined.
SCENA XI: WOBEC BRAKU RÓWNOWAGI	Error! Bookmark not defined.

SCENA XII: MIŁOŚĆ Z KARTONOWEGO PUDEŁKA **Error! Bookmark not defined.**

REWERS ALBO EPILOG.....**Error! Bookmark not defined.**

CZĘŚĆ PIERWSZA: Z MŁODOŚCIĄ NIEROZSTANIE

SCENA I: WSPOMNIENIE Z ALEJI LIPOWEJ

Zaraz wjedzie pociąg na stację Warszawa Centralna. Już zapowiedziany i słysząc zgrzyt w czerni tunelu. A jemu w tym czekaniu wesoło, radośnie, młodzieńczo. Uważał się za statecznego, za doświadczonego życiem, a tu wrażenie, jak z liceum. Zdziwił się tym nastrojem swoim takim nie na miejscu, w jego wieku nieprzyzwoitym i jak uczeń zawstydził.

Wtem huk, grom i burza. Rozejrzał się wokoło. Nikt się nie poruszył. Więc to tylko w jego głowie? Choć nie, patrzy na niego z oddali, wzroku nie spuszcza, kobieta zaciekawiona. Troska w jej spojrzeniu. Obserwuje, nie poddaje się.

I to teraz, gdy zaczął już smakować tę młodość swoją, co wraz ze wspomnieniem... Właśnie teraz, pod czaszką – uderzenie, z rozmachem, obuchem siekiery. Zachwiał się, ale nie upadł, przytomności nie stracił. Schwycił się za czoło, a tam myśli rozbiegane, chaos, panika i obawa, że zaraz, zaraz umknie mu to, na co czekał, to czego szukał od dawna, a ono tylko raz i już nie wróci, zniknie bez śladu w tym hałasie, który bębni w uszach rozrywa.

Upomniał więc siebie, do siebie się zwrócił:

– Skup się, patrz, obserwuj! Porządku pilnuj! – rozkazy sobie wydawał. Szyją przy tym potrząsał, a szalik falował, jak wahadełko w zegarze dziadka – to w tę, to w tamtą. A wszystko po to, by miarę rzeczom przywrócić, by ten przysłowiowy groch od kapusty oddzielić, by już z osobna, jak należy, i ten groch, i ta kapusta. Ale nic z tego! Chaos coraz większy. I z tej porażki uśmieszek pusty w kącikach ust, mdły zapaszek w nozdrzach i niesmak cierpki na końcu języka. Bo jak się z tym absurdem, z tą głupotą sprawić, która tu, przed nim, na stole, jak wygnać z głowy tego uparciucha, który warzywa porozrzucił, w garnku miesza, bigos śmierdzący waży.

Do rozumu się więc zwrócił, bo uczucia mają święte prawo hałasować, kisić się, pienić, talerze bić, a on nie.

– Przed Tobą być może najważniejsze w życiu, a ty tu... – To się zawstydział, to siebie samego w powagę życia upychał. Ale nic z tego! Bałagan coraz większy, jak w podróźnej torbie pękatej, gdzie rzeczy docisnięte kolaniem, aż boi się otworzyć.

A ta się patrzy i nie odpuszcza. Nawet dwa kroki zrobiła w jego stronę, by perspektywę poprawić. Okulary zdjęła, przeciera.

– Taki to ja ciekawy jestem, że niczego nie chcesz uronić, nawet plamki małej, tłustej? – Więc i on w nią wzrokiem beczelnie, by odstraszyć, jakby „sio” na nią świstał, jak na kurę jakąś głupią, upartą. A ta nic – nieugięta, niezłomna.

Poddał się w końcu, oczy od niej oderwał, rozejrzał się. Świat wokół nie próżnował. Oto pociąg przed nim stoi, o stopy się ociera, jak kot łasi. Wjechał, a on tego nie zauważył i to najgorsze, i stąd lęk największy. A wjechać musiał, skoro rozgrzanym metalem w nozdrza dyszy, spalonym olejem śmierdzi.

I w tej samej chwili wszystko zastygło, znieruchomiało – nagle, nieoczekiwanie, jak pilotem na pauzę. Klik i już. Radość zniknęła i nie ma już radości. Jak mysz przestraszona skryła się pod żeliwnymi kołami i trzęsie się, o jak się trzęsie... Ale tylko się domyśla, bo w oczach nawet drgnienia tego świata, co przed nim.

– Cóż to się stało? Co ze mną nie tak, że zatrzymałem wszystko jednym palca muśnięciem?! – Rozgląda się na boki, wychyla na skraj torów. Nic nie pomaga. Wokół martwa natura, a w nim dzieje, oj, dzieje się.

Nerwowo się zachowuję, podejrzanie! Czy dlatego ta okularnica natrętna teraz już otwarcie, w poprzek innym, całą sobą w moją stronę?! Ale na razie spokój, bo i ona jak słup soli, jak żona Lota z lekkim ust rozwarciem.

– Co tu się wyprawia, do jasnej cholery! – krzyczy. Ale to nie na nią, to na siebie wrzeszczy, aż dudni pod czaszką, co ze strachu pęka. A ta wciąż tam naprzeciw, prymuska jedna, na kilka kroków, na wyciągnięcie ręki. Nie odpuszcza, bo i nie może skoro skamieniała.

– Cóż to za choroba co życie w biegu zatrzymuje? – do siebie coraz szybciej, pytaniami do siebie strzela – Alzheimer, Parkinson czy inne nieszczęście? – Prześladowuje go od dawna, a nazwać jej nie potrafi. I skuteczne się okazuje to pytaniami bombardowanie, ten pytań nalot dywanowy, bo odpowiedź zrazu w drzwi puka, trąca lekko, nieśmiało, a potem buciorem kopie, na oścież wywala i już jest, hardo w progu stoi:

– Przestań pieprzyć o chorobie. Przewrażliwiony jesteś. Nie spałeś, bo nie mogłeś zasnąć. A tu czysta fizyka i biologia oka, co jasności umysłu wymaga. Zobacz! Brak punktu zaczepienia. Pociąg wydaje się bez kresu, bo początek i koniec w tunelu, z obu

stron, a skoro każdy wagon taki sam, to ich ruchu mogłeś nie zauważyć, skrajności wypatrując.

– O, patrz – sam sobie przerywa – okno z człowiekiem zaczęło się przesuwac, a ten się wychyla i po peronie rozgląda. Nie przegap!

– Nie przegapię! Już widzę! – I tak ze sobą rozmawiał. Ten nawyk przed światem skrywany stał się teraz kryjówką, co przed światem ocala. Któż inny mógł go uspokoić, usprawiedliwić? Tylko on sam, skoro to jego te strachy i trwoga. I ustały, i wróciła duszy równowaga, i lęk zniknął, co się w panikę mógł zmienić niechcący. O, jak bardzo tego nie chciał. Zaświtała nadzieja, że myśli go ocala i ich porządek. Wspomnił psalm o zielonej dolinie, którą się idzie i zła się nie lęka i o lesie wspomniął, o tym u dziadka.

– Ale nie w lesie jesteś – życzliwie już zwrócił się do siebie, a nie jak poprzednio – rozkazy i krzyki. – Nie w lesie jesteś, lecz w mieście skalistym. Wśród pni betonowych mrużysz oczy od światła, które słońcem nigdy nie będą, choćby nie wiem jak oślepiały. – Jakże mu się ta myśl spodobała, że nic tylko zapisać. Ale jak, tu nie ma jak. – Później, już w wagonie – poradził sobie. I tak ze sobą rozmawiał, wargami szeleszcząc cicho, że nawyk, że skrywany, że trzeba zapisać, i że to tylko on, jego wrażenia ulotne i więcej już nic.

Uspokoił się. Marmury Dworca Centralnego już nie drgały pod jego stopami, choć wciąż siebie z zewnątrz ogląda, jak wystawę sklepową bez ram i granic. Stoi przed wejściem manekin z ręką sztywną, wyciągniętą. To on. Wkrótce sam stanie się częścią tej dekoracji, która po ziemi toczyć się będzie, a czasem i mostem, nad rzeką. A wszystko to jedynie w oczach się dzieje. I w tym choroba jego i słabość, że zmysły oddzielnie, bo teraz tylko wzrok syci i nic nie słyszc – głucho, cicho, nawet jego oddech przytłumiony, choć one przecież pętami, jak nogi konia powiązane, ten obraz i dźwięk. Tak, on to wie. Ale skąd ta pewność? A może to tylko przypuszczenie, nawyk dziwaczny, nierozpoznany, że one zawsze razem?

Jest! Dźwięk! W końcu i on, choć z opóźnieniem! Ból przebija uszy, bije młotkiem, nożem kraje. Zgrzyt hamulców, żywego żelaza o żelazo tarcie. Chwyta głowę w dłonie, ale na nic, jeszcze ostrzej, jakby przyłożył do niej głośnik. Dźwięk rozdziera czaszkę aż do kości. Życie wróciło w swojej pełni. Kłuje w oczy i rozrywa uszy. Dopadło go, powaliło na ziemię, skopało, pokazało, kto tu rządzi. Nawet gdyby siedział cicho, schowany, jak ta mysz pod kołem, wydarłoby go stamtąd za chabety, za poły marynarki na świat by go wytaszczyło to życie, przed którym nie ma ocalenia.

Wtem dźwięk ustał. A raczej on się z nim oswoił. I dopiero teraz głos ludzki do niego dotarł, dopiero teraz powietrze rozdarł rąk człowieczych wiatrak. Okularnica macha mu przed oczami, sprawdza czy widzi. I słodko do niego, perliście:

– Czy dobrze się pan czuje? Czy czegoś nie potrzeba? Może pomoc wezwać? – Tak, ten jego inteligencki wygląd, to jego zagubienie i roztargnienie! Nie ukryjesz! Stąd ta kobieca czułość cikliwa i dziubka ust wypięcie.

– Spierdalaj! – warknął więc, by przerwać, w zarodku stłumić, by zmrozić tę wrażliwość niechcianą od razu, bez wahania, bo a nuż alarm podniesie, pomocy zacznie wzywać, a przecież chamowi pomagać nie będzie. Prychnęła jak kotka, gdy ty ją tak pod włos, z zaskoczenia. Z fuknięciem odwróciła się na pięcie i odeszła. Długą chwilę patrzył zadowolony na jej plecy. Wreszcie spokój. I znowu, jakby nic się nie wydarzyło. Stał więc w kolejce cichy, rozluźniony, jak podróżnik powszedni, bez rozterek. A tu się ciśnie na niego tłum pasażerów, oddech odbiera. Okrąża go panorama twarzy namiętych, nerwowych.

– Zdążycie! Powoli! Nikt nie zostanie! – Uspokaja ich szeptem. Mruczy pod nosem jak ten, co nie pierwszy raz i dlatego taki powolny a ruchy skąpe, tyle tylko ile trzeba i ani mrugnięcia więcej.

A może nie warto wchodzić? Ta myśl zaskoczyła go, bo przecież i on – u wejścia, u drzwi prawie. Wycofał się więc na koniec kolejki. Tak, musi odpowiedzieć sobie na pytanie: Po co? Zanim nogę podniesie i na stopniach postawi, zrozumieć powinien, dlaczego teraz, on – Włodzimierz, tutaj oto, przed tą masą metalu z biletem w dłoni. Od początku musi zacząć. Ale gdzież on jest, ten początek?

I nie o to tutaj chodzi, że za chwilę ruszy na spotkanie z Nadzieżdą, i nie to najważniejsze, że ona równocześnie, z drugiej strony, z Woroneża. Nie, tu o całe życie chodzi, o ten początek, który sprawił, że się zdecydował, kupił bilet, spakował rzeczy. Sterczy tu teraz, na tym peronie, jak prosie pieczone, nadziejami nafaszerowany.

– Patrzcie na mnie, jestem gotowy, bierzcie mnie takim, jakim jestem – pokrzykuje sobie w duchu. I w tym swoim paltku to rozmachuje się rubaszny, wesoły, to ze strachu trzęsie, jak ten sławny liść osinowy, który u jego dziadka wcale się nie trzęsie, bo sztywny i w dolince rośnie, gdzie wiatru mało.

Tak... i tym bardziej nie o ten liść chodzi, a o początek wszystkiego. Musi go odnaleźć za wszelką cenę. Jeśli trzeba, przekopie pamięć szpadlem, porozrzuca widłami, grabiami przeczesze, ale się nie podda. Ambicja taka w nim siedzi rozparta w karczmie za sosnowym stołem. Piwo w ręku, łokcie szeroko, wzrok wyzywający. Na golonkę z

musztardą czeka i nie odpuści jego ego rozdęte. Gdzież on więc się skrył, ten cholerny początek?

Kiedy to ostatnio o nim myślał? Tak, na przystanku przy Żwirki i Wigury. Ale nie, to nie tam. Stał tam przed chwilą i wie, że nic się tutaj nie mogło zacząć. Pożegnał się z rozłożystymi lipami, jakby się rozstawał na zawsze, a one uciekły z okien autobusu. Pozostał tylko ich zarys. Cóż to za cikliwość żałosna taka dla siebie na pokaz. Wróci tu przecież za kilka dni.

Więc nie o drzewa tu chodzi, a o samą drogę. – Tak, przyjrzyjmy się jej bliżej – zachęca siebie i tego drugiego z własnej głowy. – Tak, szpaler pni i gałęzi rozdziela jej jezdnie. Tak, zielone lipy pośrodku. Osacza je potok światła i kolorów. Metalowe pudełka pędzą co rano w jego płytkich wodach. Przestrzeń tak szczelnie wypełniona, że dla myśli brak już miejsca.

Jest! Eureka! Tak, o materię tu chodzi, o to, że jest wieczna! Bo nawet, gdy jeden samochód zamilknie, ryczeć przestanie – nic to nie da. Zmartwychwstanie w hucie w nowym modelu, opcji, kolorze. Jak zombie wysunie się rano zza bloków sztywny, mechaniczny, ze wzrokiem szklanym, upartym. Dołączy do wyścigu łodzi w tej rzece metalem kipiącej.

Nie, nie ma im tego za złe, że tylko one nieśmiertelne. O nie! Czułość ma dla nich i ciepło w sercu za to, że nie umierają. Aż gorąco mu na te wspomnienia, które obsiadły go jak muchy – tłoczą się, wzajemnie zagłuszają. On, w jednym z nich, w metalowej skrzynce, w furiata pędzie, oślepiiony światła feerią, ścigany krzykiem klaksonów, otępiaty. Ze szpitala wracał, gdy jej zabrakło, gdy nastąpił koniec świata. I choć lipy rozkraczyły się na drodze, a samochód oszalał, on sam pozostał w żywych i nikogo nie zabił. Ale i tu żadnego początku.

Rozum traci od myśli takich. Musi odpocząć. Od dawna próbuje w mieszkaniu za tym przystankiem! Zieleń za oknami. Ale i tu nie ma spokoju. Między gałęziami czerni się, płacze w oczach Cmentarz Żołnierzy Radzieckich. Czy to z nim nie może się rozstać? Gdy się wprowadzał, zwieziono już wszystkie szczątki. Mauzoleum było gotowe. Granity zdążyły poszarzeć, a brązy pokryć się patyną. Tylko małe drzewka lipy wzdłuż alejek długo jeszcze nie kwitły.

Czuł ich obecność za swoimi plecami, gdy czekał na autobus do bezsensownej pracy w jakimś ministerstwie. Aż mrowiła, aż drapała go po łopatce myśl o tych kościach i robakach, o tym, że one już na zawsze razem, nigdy oddzielnie – bezsilne kości i radosne robaki. Ale nie ma racji, myśląc, że to tylko robaków szczęście. Żywym równie potrzebne.

Kroczą samotnie z nicością kwiatów w rękach, co zwiędłą, wyschną albo zgniją, jeśli deszcz flakony zaleje. Zaduma w oczach. Stapają delikatnie, by myśli nie zgubić. Wsłuchują się w ciszę, bo może ktoś z tych, pod nogami, żyje jeszcze w ich pamięci.

I on snuł się kiedyś po tych alejkach. Ale to się nie liczy, bo nie sam, bo pijanym był wtedy młodzieńcem. Choć zaduma i owszem, tak, zaduma na pewno. Chwiał się na betonowych płytach błędnika rozchwianiem, ostrożnie stawiał kroki, onieśmiałony brakiem ludzi. Cisza, choć ptaki darły się wniebogłosy. Wiosna wtedy była, maj, ciepło, a może i chłodno, deszcz, jesień.

Nie poszli tam od razu, a nawet pójść nie zamierzali. Chcieli się po lekcjach powłóczyć, zrzucić z siebie trochę tej wiedzy szkolnej, stresującej. Z łapczywością wypili po butelce piwa. I od razu łżej. A potem jeszcze po dwie. Na ławeczce przysiedli między blokami. Zielona. Z wyciągniętymi przed siebie nogami, jak paniska rozparci, delektują się wesołym majem, a może smutną jesienią. Obok piaskownica w drewnianej skrzyni. Za nią zjeżdżalnia dla maluchów – metalowa, niebieska. Często tu przychodzą. Lubią na tym placu zabaw swoje „kurwy” rzucać i dorosłym grozić, bo wtedy najjaśniej widać i najgłośniejszy słyszeć, że oni już nie dzieci, że z tym skończyli, że z tym zerwali, jak się zrywa z książek czytaniem do samego rana, a więc na poważnie. Przygląda się im ciekawie mały chłopiec. Wybrudzony, plamy na nogach od trawy, co barwi, jak ta cholera. Uśmiechają się do niego pobłażliwie, z wyższością, jak dorośli.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI